



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### POGADANKA NAUKOWA.

#### LODOWCE.

— Co to jest geologia? — zapytała Helenka nauczyciela pewnej niedzieli.

— Geologia! — powtórzył Kazio — gdybyś uczyła się greckiego języka, wiedziałabyś Helenko, że *Gea* znaczy ziemia, a *logos* nauka.

— Czyli, że geologia — odparła Helenka — jest nauką o ziemi. Prawda, panie profesorze?

— Tak, — odparł p. Wtold — geologia jest właściwie

historią ziemi, mówi nam o jej przeszłości; uczy o jej pokładach, o przyczynach, które jej nadały obecną fizyognomię; mówi nam o wulkanach i lodowcach, o wpływie tych dwóch czynników, ciepła i wody, na powstawanie gór, rzek i jezior.

— Niech nam pan co opowie o lodowcach — prosiła Helenka.

— Nie, o wulkanach, drogi panie — prosił znów Kazio.

— Dobrze, ale jakże dogodzić tym chęciom, skoro Kazio chce, bym opowiadał o kraterach zięjących ogniem, a panna Helena pragnie zapoznać się z lodowcami. Chyba wulkany odłożymy do przyszłej pogawędki, a żądanie p. Heleny, z tytułu pierwszeństwa dziś spełnimy. Dobrze?

— Ach dobrze! Bo i jedno i drugie bardzo mię zaciekawia — zgodził się Kazio.

— A więc czy wiecie, jakim sposobem tworzą się lodowce?

Dzieci milczały chwilę, wreszcie głos zabrała Helenka.

— O lodowcach wiem tylko to, że tak nazywają się wielkie przestrzenie pokryte lodem i śniegiem.

— Lodowce znajdują się zawsze na stokach i u podnóża wielkich gór i zaraz postaram się wytłómaczyć wam dla czego. Wiecie, że są góry, których wierzchołki zimą i latem śnieg pokrywa. Czegóż ten wieczny śnieg dowodzi? Oto tego, że na pewnej wysokości ponad ziemię temperatura obniża się, spada niżej zera, stąd pary wodne znajdujące się na takiej wysokości, marzną i spadają na ziemię pod postacią śniegu, jeżeli w drodze swojej nie zetkną się z cieplejszymi warstwami powietrza, w których znowu topnieją i spadają pod postacią deszczu. Otóż wyobraźmy sobie dwie góry, jedną niską a drugą bardzo wysoką; mała góra sięga wierzchołkiem, cieplejsze, bliższe ziemi warstwy powietrzne, to też gdy śnieg ją okryje w zimie, wiosenne i letnie promienie słoneczne wytworzą, padając na ten wierzchołek tyle ciepła, że śnieg stopnieje, spłynie tu i owdzie strumykami do doliny, reszta wsiąknie w ziemię i pożywi rosnącą na górze roślinność. Lecz inaczej rzecz się ma, gdy śnieg pokryje olbrzymie szczyty górskie. Tutaj ciepło nie roztopi całej masy śniegu, następne zimy znowu dorzucą i tenże śnieg siłą własnej ciężkości z wierzchołków opada bryłami na stoki. Te bryły spadające zwiemy lawinami. Szerzą one straszne spustoszenie, siłą uderzenia bowiem obruszają wielkie głazy i toczą je z sobą, dopóki nie opadną na jakąś płaszczyznę. Zrozumiecie łatwo, że taka lawina znaczy drogę swoją wyłomami, którymi szarpie górskie stoki. Zimą więc takie wysokie góry, weźmy za przykład Alpy szwajcarskie, pokryte są bryłami, pokładami zbitego, twardego śniegu. Lecz za nadejściem lata te spadłe lawiny z wierzchu topnieją, woda wsiąka w drobne szczeliny, tu znów skorupą śniegu od promieni słońca oddzielona marźnie znowu i tworzy lód. A śniegu tego tak wielką ilość nagromadziły już mroźne zimy, że najgorętsze lato,

w całości stopić go nie potrafi. W ten sposób corocznie przybywa lodu pokrytego śniegiem.

— Ależ to świetną ślizgawkę możnaby urządzić na takim lodowcu, gdyby nie ten śnieg na wierzchu — zawołał Kazio.

— O, mój Kaziu — zaśmiał się nauczyciel — niebezpieczna byłaby to zabawa, ślizgawka na lodowcu. Trzeba ci wiedzieć, że z powodu ruchu, któremu ulega owa masa lodu, tworzą się w nim szczeliny na setki łokci głębokie. Te szczeliny w skutek topnienia lodowców, rozszerzają się coraz bardziej i tworzą wreszcie przepaście, w których już nie jeden nieostrożny podróżnik śmierć znalazł, bowiem nieraz szczeliny takie, pokrywa śnieg, który rozpada się pod nogami wędrowca.

— Ja nie rozumiem tego ruchu lodowca? — mówiła Helenka.

— Geologowie zauważyli — zwrócił się do niej nauczyciel — że cały lodowiec, tworzy jedną masę, jedną całość, samym ciężarem swoim popychaną na dół. Początek jego znajdujemy przy wierzchołkach gór, tu gromadzi się największa ilość śniegu i lodu; im niżej zaś badamy lodnik, tem mniej widzimy na nim śniegu, tem silniej działa na niego ciepło słoneczne; aż wreszcie kończyny jego zamienia to ciepło w jeden wielki strumień wody zwany rzeką, lub też w kilka drobniejszych rzeczek i potoków. Lodnik więc porusza się naprzód ku dolinom, lecz bywają także wypadki, że cofa się pozornie. Zdarza się to wtedy, gdy zima mało da mu śniegu, a za to gorące lato silniej go uszkodzi. Lecz znów ostre zimy wynagradzają mu ten ubytek.

— A jakim sposobem tworzą się te szczeliny, o których pan wspominał? — zapytał Kazio.

— Gdyby dno lodowca — mówił dalej nauczyciel — było zupełnie gładkie i boki miały wszędzie jednakową średnicę, nic nie stało by na przeszkodzie ruchowi lodowca. Lecz sami wiecie, że tak być nie może, i że lodowiec musi być tu węższy, tam szerszy, stosownie do stoków, które pokrywa. Otóż, gdy masa lodu natrafi na węższy przesmyk, wówczas jej część środkowa posuwać się może naprzód, lecz boki ocierają się o zwężone brzegi, a pod wpływem parcia całej górnej części lodowca, pękają, tworzą szczeliny, najczęściej w najwęższym miejscu przesmyka. Istnieje jeszcze drugi powód tworzenia się szczelin. Faktem jest, że środek lodowca posuwa się szybciej od jego brzegów. Przekonano się o tym w sposób następujący: w poprzek lodowca wbito na prostą linię siedm pali; gdyby lodnik poruszał się z jednakową szybkością na całej szerokości, wówczas wszystkie pale powinny by poruszyć się z nim razem nie zbaczając prostą z linii; stało się jednak przeciwnie: po upływie kilku miesięcy, lodnik bowiem porusza się bardzo wolno, zauważono, że pal środkowy oznaczony numerem czwartym wysunął się na przód, a pozostałe utworzyły półkole, tak iż pale numerami pierwszym i siódmym oznaczone najmniej posunęły. Czy nie domyślacie się, dla czego — zapytał nauczyciel.

— Wskutek tarcia o brzegi — odezwała się nieśmiało Helenka.

— Brawo panno Heleno! — zawołał pan Witold — istotnie boki lodowca poruszają się wolniej, w skutek tarcia o brzegi; to też gdy środek lodowca pociąga je za sobą na dół często na tych bokach tworzą się szczeliny. Lecz jeśli brzegi zwalniają ruch lodowca, i on też na owych brzegach ślad swój

znaczy, żłobiąc je i krusząc, a te zmielone części łożyska tworzą tak zwane błoto lodowców. Tak samo dzieje się z dnem; to też po zaokrąglonych i jakby wypolerowanych stokach gór; geolog poznaje, że były one niegdyś łożyskami lodowców.

— A coż się stało z temi lodowcami? — zapytał Kazio.

— Ziemia nasza była widownią wielkich przewrotów — odparł pan Witold — lądy zalewały morza, z których znów występowały nowe wyspy i inne lądy. W bieżącym wieku na przykład całą dolinę Goldau w Szwajcaryi zasypała część góry Rossberg, która osunęła się nagle.

— I dla czego? Ależ to niebezpiecznie mieszkać w górach! — zawołała Helenka.

— Góra Rossberg jest niejako zlepkiem wapna i kamyków spoczywającym na gliniastym gruncie, grunt taki, jak wiecie, mięknie pod wpływem wody; otóż raz zebrała jej się taka obfitość, że glina rozmiękła zupełnie i że ów zlepek wapna i kamyków, zsunął się po niej jakby po namydlonej równi pochyłej. Woda rozdzieliła dwie różne warstwy gruntu z których jedna przepuszczała wodę, a druga zatrzymywała ją w sobie i spowodowała nieszczęście mieszkańców Goldau. Fakt analogiczny zdarzył się na górze Goima pod Wenecją.

Pewnej nocy, część góry wraz z wioską z kilku chat złożoną, obsunęła się cicho i spokojnie. Nazajutrz mieszkańcy sądzili, że czarnoksiężka sztuka umieściła ich nagle w dolinie, w którą wczoraj spoglądali z wysokości kilkudziesięciu metrów.

— A to ciekawy fakt — dziwiły się dzieci.

— I z jakąż prędkością porusza się lodowiec? — pytał po chwili Kazio.

— Z szybkością dziewiędziesięciu dziewięciu metrów na rok, czyli dwudziestu siedmin centymetrów dziennie. A po raz pierwszy obrachowano to w roku 1832, na mocy następujących danych. W roku 1788 słynny uczony, przyrodnik de Saussure wszedł na szczyt góry Mont-Blanc; po drodze zostawił był na lodowcu drabinę przy szczycie zwanym Czarną igłą. Otóż w lat czterdzieści cztery później znaleziono ową drabinę kilka tysięcy metrów poniżej, stąd wyrachowano na ile metrów rocznie porusza się lodowa masa. Zresztą szybkość tego ruchu zależy także od pochyłości jego dna. Skoro już mówimy o lodowcach, zaznaczyć wam jeszcze muszę istnienie tak zwanych moren. Moreny są to długie pasma kamieni, które lodowiec unosi na swoim grzbiecie. Pochodzą one z lawin, odrywają się nieraz z brzegów, które od spodu lód wyłobił, a skoro lodowiec zniknie pozostają jako wiekopomne po nim pamiątki.

Jedno z najpiękniejszych jezior włoskich, jezioro Como, nad którym teraz wygrzewa się corocznie mnóstwo cudzoziemców, niegdyś było mroźnym, białym lodowcem. W Polsce zaś spotykamy także olbrzymie głazy różne w swym składzie chemicznym od tych, które w koło nich spotkać można lecz identyczne z głazami gór szwedzkich. Otóż geologowie twierdzą, że w bardzo odległych czasach, Bałtyk nie istniał, i że głazy u nas spotykane, przyniosły nam w darze szwedzkie lodowce.

— Jakięj wielkości mogą być te głazy?

— Mają nieraz po trzydzieści łokci powierzchni.

— A czy wymierzono grubość lodowców? — pytała Helenka.

— Lodowce mają przeciętnie od 30 do 40 metrów głą

bokości, lecz lodowce podbiegunowe tworzą nieraz powłokę na 100 metrów grubą.

— Aż mi się zimno robi na myśl o takiej masie lodu — mówiła Helenka.

— Ale za to, gdy pan będzie mówić o wulkanach, ogarnie ciepło — zaśmiał się Kazio.

— Czy pan zwiedzał lodowce? — zapytała Helenka.

— Zwiedzałem lodowiec Rodanu w Szwajcaryi — odparł nauczyciel. Opowiedział swoim uważnym słuchaczom, jaki prześliczny widok przedstawiają te białe lodowe morza, tysiącem tęcz pokryte przez załamane w nich promienie słońca. Pokazał im też wysoki, spiczastem żelazem zakończony kij górski, i siekierkę, którą wyrąbywał stopnie w gładkich ścianach lodowych, by po nich na szczyt wstąpić.

— I pan wybrał się tam na taką wycieczkę, czy też w towarzystwie? — zapytał Kazio.

— Przedewszystkiem chcąc zwiedzić Alpy lodowcowe trzeba zawsze wziąć z sobą przewodnika, który dobrze zna już drogi wiodące na wierchołki, umie obejść niebezpieczne miejsca, inaczej niechybnie możnaby zabłądzić wśród górskich manowców, zlecieć w przepaść, zmarznąć nawet na lodowem morzu; nieraz bowiem zapada tak gęsta mgła, że oko nic rozróżnić nie może w około; najbezpieczniej jest wtedy stać na miejscu. Przyznacie jednak, że jest to arcy nie wygodnie lub siedzieć na bryle zmarzniętego śniegu, zdala od jakiegokolwiek schronienia. Przewodnicy zaś, ludzie doświadczeni, dzieciństwa wśród gór przebywają, umieją po różnorodnych znakach rozpoznać, czy pogoda sprzyjać będzie wycieczki. Takie dni tylko podejmują się przeprowadzenia ciekawych turystów; pomimo tego nieraz czytamy o wypadkach śmierci. Wypadki te, zdarzają się wprawdzie coraz rzadziej, szczególnie w Szwajcaryi; tam bowiem założono towarzystwo, które jedynie ma na celu wygodę i bezpieczeństwo osób zwiedzających ich ojczyste góry. Towarzystwo to nosi nazwę klubu alpejskiego; pobudowało już wiele schronisk na stokach gór, kędy wędrowcy znajdują przytułek i nocleg w razie potrzeby, kształci przytem odpowiednio przewodników, są to zwykle ludzie inteligentni; nawet uczonym, którzy wycieczki odbywają w celach naukowych, umieją podać skuteczną pomoc, jak tego doświadczył wiekowy, już uczony prof. Janssen, który w przeszłym roku, stanął na szczycie góry Mont-Blanc, a główną część drogi odbył na sankach ciągnionych przez przewodników, lub też na ich barkach.

— Na którą z gór szwajcarskich wejść najtrudniej — zapytał Kazio.

— Do najmniej przystępnych — odparł pan Witold — należy Mont-Cervin. Oto rycina — dodał, zdejmując z półki sporą książkę, wyobrażającą tę górę.

— Wygląda jak głowa cukru — zaważyła Helenka.

— U stóp jęj leży lodowiec Rodanu — mówił pan Witold — wzniesiona na cztery tysiące czterysta kilkadziesiąt metrów, nęciła nieraz fantazyę turystów, lecz jej strome, skaliste, śniegiem pokryte stoki odstraszały najodważniejszych. Dopiero w roku 1865 Anglik Lord Duglas wraz z kilkoma towarzyszami potrafił na szczyt jęj wstąpić. Niestety, powracając z tęj śmiałej wycieczki spadł w przepaść wraz z towarzyszami.

Odtąd minęło lat kilkanaście, zanim ktokolwiek odważył się puścić w ślady nieszczęśliwego turysty. Lecz jeden z przewodników, nazwiskiem Carrel, odkrył nową drogę na Mont

Cerwin bezpieczniejszą od tęj, którą szedł był lord Duglas. Ów Carrel odbył czterdzieści pięć wycieczek nową drogą i śmierć go na nięj zaskoczyła.

— Dla czego? czy wpadł w przepaść? — pytały dzieci.

— Nie, widocznie zbytne znużenie siły jego wyczerpało. Niemłody był to już człowiek; w sierpniu r. z. wyruszył z dwoma turystami na Mont-Cerwin, lecz w drodze zaskoczył ich szalony wichur; nasza trójka dotarła wtedy do niskiego drewnianego schroniska i tam wśród śniegów smaganych huraganem przebyli dwie noce i dwa dni. Temperatura obniżyła się do dwudziestu pięciu stopni niżej zera; w schronisku spalono wszystkie kuchenne ławki. Żywność wyczerpała się. Nareszcie trzeciego dnia wiatr trochę opadł, za radą Carrel'a turyści postanowili zawrócić do Zermast, skąd wyruszyli by w lepszych warunkach ponowić wycieczkę. Lecz w parę godzin później wiatr wzmógł się znowu, zasypał płatami śniegu podróżnych, mroził twarz i członki, dech tamował, lukiem i świstem zagłuszał ich słowa, siekł w oczy. Nieustraszony Carrel nie tracił zimnej krwi, prowadził gromadę do ostatniego tchnienia, wreszcie gdy już przez śnieżne tumany dojrzeli zieleńjącą w oddali dolinę Zernatt, stary przewodnik ustał nieco. Że droga łatwiejszą już była do przebycia, przeto turyści szli śmiało naprzód, wtem zatrzymało ich wołanie Carrel'a. „Poczekajcie na mnie, nie mogę już iść dalej.”

Istotnie zmuszeni byli znieść biedaka na płaszczyznę lodowca; wlano mu wina do ust, rozcierano śniegiem — pomoc okazała się daremną; na brzegu lodowca ducha wyzionął.

— Umarł na stanowisku — rzekł po chwili Kazio. — Wszyscy znajomi Carrel'a żalowali go pewnie.

— Żalowano go i wyprawiono mu wspaniały pogrzeb.

— Czy pan znał go osobiście? — zapytała Helenka.

— Nie, nie znałem go, i nie byłem też na Mont-Cervin. Zbyt to ciężka była wyprawa, dla tak niedoświadczonego, jak ja wędrowca. Podczas mego pobytu w Szwajcaryi, zginęło właśnie na takiej wycieczce trzech ludzi.

— I dla czegoż to? — niech nam pan opowie.

— Było to we wrześniu. Jakiś młody człowiek, mieszkaniec Strasburga; wybrał się z pewnym Niemcem na Mont Cervin, w schronisku razem noc spędzili, poczem Alzatzczyk wyruszył dalej, a jego towarzysz w godzinę później opuścił schronisko. Lecz wkrótce zerwała się burza, przelotna, jak mówili przewodnicy, Niemiec postanowił przeczekać ją w zagłębieniu skały. Rozmawiano tymczasem o towarzyszach, gdzie znajdują się w tęj chwili, gdy nagle koło rozmawiających zabłysła w powietrzu spadająca siekiera, którą przewodnicy zawsze z sobą biorą, a w parę sekund potem ujrano trzy ciała lecące w przepaść. Okrzyk najwyższej grozy wydarł się z piersi stojących towarzyszy. Ciała spadły na lodowiec, na którym czerniły się plamami przez dni kilka, zanim sprowadzono je do Zermatt.

Helenka zakryła twarz rękami.

— Jakież to straszne! — zawołała. — I pocóż tak życie narażać? Gdybym mogła, zabroniłabym wchodzić na tak niebezpieczne wysokości.

— Nie wszystkie też wycieczki mają tak smutny koniec — wyrzekł pan Witold Były kobiety, które wchodziły na na Mont-Cervin, i szczęśliwie wróciły do domu.

Helenka chciała jeszcze zadać kilka pytań nauczycielowi, lecz Kazio przypomniał jęj, że nadeszła już godzina druga, o której mama wrócić im kazała do domu.

Pożegnały też śpiesznie nauczyciela serdecznie dziękując za dłuższą niż zwykle pogawędkę.

*Młody przyjaciel dzieci.*

## KULIG.

(Dalszy ciąg).

— Czerwony, panny Celiny zaś zielony.

— Jakto panna Graminsia ślicznie złotem wyszywa! To Celinki gorsecik srebrne będzie miał kliny?

— Srebrne, a Wańdzi złote.

lowy, zahaftowany złotą nicią i obsyty takąż frendzlą. Zachwył Wańdzi nie miał prawie granic.

— Panno Graminsiu — zawołała, pędząc z powrotem do panny służącej — proszę na chwilę o ten gorsecik! Przyłożę go do spódniczki, aby widzieć jak to wszystko będzie razem wyglądało!

— Zaraz, zaraz, panienko, skończę tylko narożnik, który wyszywam. Niech panienka poczeka chwileczkę, bo zmyliłby mi się deseń.

— Prawda, taka śliczna gwiazda, szkoda żeby się miała nie udać! — klękając znów na krześle, odparła Wańdzia.

W garderobie tymczasem, drzwi zeicha stuknęły i dał się słyszeć głos kawiarki Piotrusi, rozmawiającej z szyjącą



Lodowce.

— Wykończy się też aby na czas, tę zmuśną robotę?

— Wykończymy wszystko! wykończymy! — uspokajała wesoło panna służąca. — Dziś w nocy posiedzimy z Józią do późna, resztę zrobi się przez poniedziałek. Widziała już panienka swoją spódniczkę? Wisi całkiem gotowa, ot tam w garderobie, na manekinie.

— Już gotowa?! — podskakując z miejsca, krzyknęła Wańdzia, i pobiegła pędem do garderoby.

— Cesi! Cesi! — rozległo się po chwili radosne jej wołanie. — Pójdźno zobacz! prędko! prędko!

— Idę, idę! — śmiejąc się odpowiedziała poważniejsza Celina.

W garderobie, przykryta białym prześcieradłem, wisiała istotnie sukienka leciutka, przejrzysta, obramowana czerwonymi wstęgami i złocistym galonem, przytem fartuszek tiu-

na maszynie szwaczką, Niekiedy nieśmiało odzywał się głosik obcej, młodej jakiejś dziewczyny.

— Kto tam jest? czy kto przyszedł? — zapytała pani Ilska.

— To ja proszę wielmożnej pani! — ukazując się we drzwiach odpowiada Piotrusia.

— Ale słyszę, jest tam ktoś z tobą?

— A to moja krewniczka Stasia, przyszła mnie odwiedzić. Przepraszam bardzo wielmożną panią, że ją wprowadziłam de garderoby... Myślałam że państwo są w jadalni.

— Nic nie szkodzi moja Piotrusiu. Może czego potrzebuje, mów śmiało.

— Ej nie, proszę pani! — ośmielona wesoło odpowiedziała dziewczyna. — Zwyczajnie młode... Usłyszała w kuchni

o tych słicznych sukniach, które się szyją dla pańienek i zachciała koniecznie je zobaczyć.

— Niechże pierwój pokaże nam się ona sama — z uśmiechem łagodnym odpowiedziała pani Iłska — jesteś mała? — zapytała, gdy popchnięta z lekka przez Piotrusię, ukazała się w pokoju, ubogo odziana, w wieku Wańdzi dziewczyna.

— Z folwarku Glepińca! — całując z kolei ręce pani i pańienek, odparła przybyła.

— Jakżeś tu przyszła po śniegu i zimnie?

— Zabrałam się z chłopem, co nocą jechał do Leziony, a z Leziony to już tylko skok do Osieka. Dawno Piotrusi nie widziałam.

— To twoja siostra, Piotrusiu?

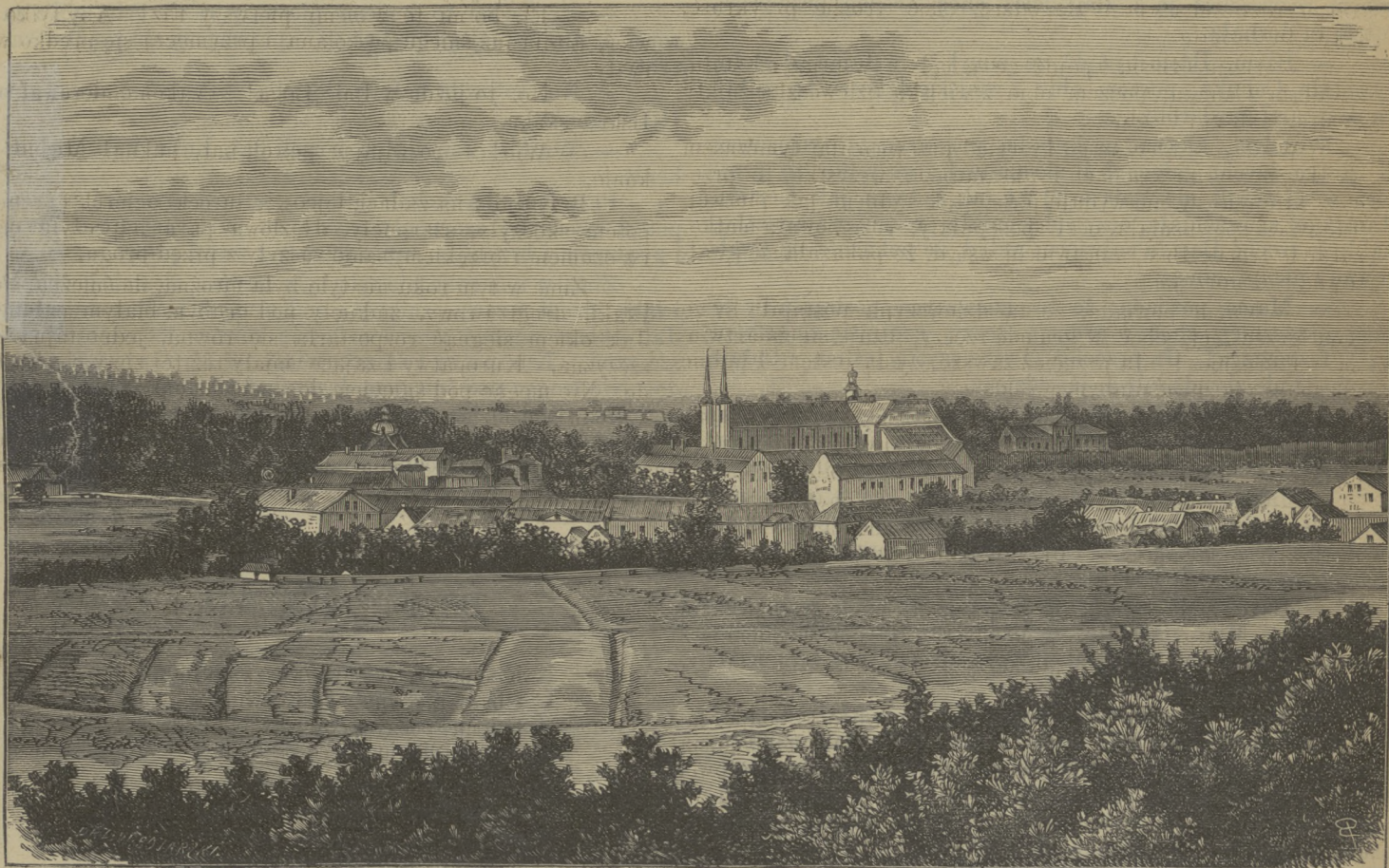
— Po wuju, proszę pani. Rodzice jęj ubodzy robotnicy, w domu dzieci kilkoro i bieda nieraz zagłada.

— O jęj! jakież to piękne! — zawołała Basia zdumiona, gdy Gramińska odsunąwszy prześcieradło, ukazała wiszącą sukienkę.

— O dla Boga! toż to ani panna młoda w kościele nie ma takiego ubrania! Z czego to jest uszyte? bo wygląda nikiej w lecie mgła nad łąką z wieczora.

— Nie dotykaj mojęj sukni! — zrywając się z miejsca zawołała nagle Wandzia — nie dotykaj, bo ją powalasz!...

Przeżrana Basia, stanęła jak wryta, z ręką podniesioną ku świecącej spódniczce, której zlekka dotknąć chciała. Twarzyczka jęj pobladła, błękitne oczy wylekły, zdawały się jeszcze większe. Zawstydzona, pokornie cofnęła się do progu, spoglądając na swe ręce, które choć czerwone i narobione od pracy, nie wyglądały przecież na brudne.



Z okolic Gdańska: Widok opactwa Oliwy.

— Zatrzymajże ją na ostatki, Piotrusiu, uczęstuj, a później opatrę ją na drogę i wyprawię z wozami, które do lasu pojadą we środe.

— Dziękuję pani, ale dziś jeszcze wrócić muszę do domu — całując znów ręce pani odpowiedziała dziewczyna. Matula byłiby niespokojni. Najstarsza jestem i potrzebna zawsze rodzicom. Ten sam gospodarz zabierze mnie znów do Lezionj.

Pani Iłska pogłaskała dziewczynkę. Podobała jęj się czerstwa, wesoła twarzyczka, niebieskie, łagodne oczy Basi.

— Moja Graminsiu, pokażże jęj tę gotową spódniczkę, fartuszek i wstążki. A ty Piotrusiu, zaprowadź później Basię do gospodyni, żeby jęj dała mąki, krup trochę, słoniny i mięsa na zapusty.

— Chodźże moje dziecko! — rzekła panna służąca, kładąc igłę i naporstek. — Pewnie jeszcze w życiu nie widziałas takich słizności.

— Wańdziu! — z przykrością zawołała pani Iłska, wskazując spojrzeniem przestraszoną dziewczynkę.

— Co, proszę mamusi? — rzekła, miarkując się trochę Wandzia.

— Zmartwiłaś mnie bardzo...

— Bo... bo, widzi mama — zawstydzona trochę poczęła jąkać Wandzia. — Czego ona mi dotyka mojęj spódniczki brudnymi palcami.

— Mylisz się bardzo! sukni jęj brudna, bo zapewne nie ma drugięj, ale ręce czyściutkie, co dowodzi, że w gruncie rzeczy, mimo ubóstwa porządne to dziecko, a zarazem cicha i potulna. Patrz, jak nieśmiało przytuliła się do drzwi. Czyż nie wstyd ci twego z nią obejścia? Ta mała właśnie podoba mi się bardzo. Jestem pewną, że łagodną, dobrą jest dzieciną i nie postąpiłaby nigdy tak źle z nikim.

— Moja kochana, jedyna mamó, przecież nie zrobiłam

jęj nic złego! — napół już z płaczem tłómaczyła się Wańdzia.

— Mogłaś zwrócić jęj uwagę, w inny, sposób. Nie, moje dziecko, stanowczo źle postąpiłaś. Nie jestem z ciebie zadowolona.

— Przecież taka prosta dziewczyna, nie zna się na uprzejmości.

— Spojrz na nią, proszę! patrz, jak jest smutną, zawstydzoną. Nie umie się pewnie pięknie wyrażać, lecz od-czuwa żywo krzywdę. Zrobiłaś jęj wielką przykrość gło-śnem ofuknięciem, sama zaś okazałaś się popędliwą, samo-lubną i nierozsądną.

— Poczekaj, mateczko, ja wezmę Basię do naszego po-koju, porozmawiam z nią i podaruję tę czerwoną wstążkę do warkocza! — rzekła Celinka.

— Dobrze, moje dziecko — odparła matka — tym spo-sobem rozweselisz ją i złagodzisz choć trochę przykrość, jakiej tu doznała.

— Basiu, Basiu! pójdź ze mną! — wstając od stołu, zawołała Celinka, poczem obie z wiejską dziewczką znikły za drzwiami garderoby.

Wandzia, klęcząc na krześle, przewracała tymczasem w złotym szychu galonach i aksamitach, wszystko to prze-ciecz w tej chwili nie wydaje jęj się tak ładnem, jak pierwěj. Twarz jęj spowaźniała, oczy sponsepniały, rozgniewała matkę, żal było trochę Basi, a najwięcej wstyd, że pokazała się gwał-towną i nieuprzejmą.

— Mama powiada, że ta dziewczyna postąpiła by ze mną grzeczniej, choć w gruncie rzeczy, czuję się zmartwio-ną. To różnica! Ja przecież zawsze czystą jestem i ładnie ubraną, i nie zbrudziłabym jęj odzieży.

— Już przestań, przestań Wandziu! — odzywa się pani Ilska. — Jestem pewna, że w tej chwili mówisz tylko, aby mówić, czujesz jednak dobrze, że źle postąpiłaś.

— Jakto mateczka odgadnie zawsze, co która z nas myśli! — rozjaśniając twarz zawołała Wańdzia i poskoczyła ucałować ręce matki. — Przykro mi, tak przykro, że nie umiem tego wypowiedzieć...

— Bardzo się cieszę, że przyznajesz się do tego, mo-je dziecko. Mam nadzieję, że drugi raz nie wybuchniesz z czemś podobnem, gdyż jak dotąd, nie zauważyłam nigdy, żebyś złe miała serce.

— Ej, — figlarnie przytulając się do matki, odpowia-da Wańdzia — serce było i jest niezłe, tylko jak mamusia przepowiedziała z góry, te gałganki zawróciły mi trochę głowę.

— To jęj pilnuj baczenie, dziewczeczko! — wesoło już od-parła pani Ilska. Nie sprawiłaby ci radości zabawa, gdybyś czuła, że przy niej pusto robi się w twęj duszy.

W ostatni wtorek pod wieczór, w Osieckim dworze było bardzo gwarno. Przed gankiem kara czwórka, zaprzężona do pakownych sani, grzebała śnieg kopytami, potrząsając dzwinkami, brzęczącemi przy szorach. Stary Michał, stan-gret, hamował, jak mógł, niecierpliwosć koni, spoglądając w oświetlone okna dworu, z którego tak długo nikt się nie ukazywał. W sypialni pani Ilskiej pełno było ruchu i weso-łości. Młodsza Wicusia, z pomocą panuy Gramińskięj, ubie-rała swoje panienki, na barwne stroje kładąc im ciepłe szubki futrzane, na czerwone zaś buciki, wysokie kaloskę z baran-kiem. Pani Ilska w salopie, zawiązując chustkę na głowie, spoglądała czasami na swe pociechy, uwijające się wesoło po pokoju.

— Panienki, a kamasze czy zapięte?

— Zapięte, zapięte, aż za kolana! — podskakując kra-kowiaka, zawołała Wandzia. — Ach mateczko! mateczko! jak ja się cieszę! Boże! Boże! jakież to musi być śliczne! tyle razem światła, muzyka, my wszyscy w strojach, tańce, a potem herbata, pączki, faworki.

— No, nie gwarzcie już! nie gwarzcie, bo się zapóźni-my! — śmiejąc się, odparła pani Ilska. — A głowy na mróz dobrze opatrzone?

— Doskonale! ja mam szarą chustkę, a Wandzia szal czerwony — odpowiedziała Celinka.

— Zlitujcie się, czego marudzicie tak długo? — ukazu-jąc się w progu, zawołał pan Ilski. — Konie przed gan-giem rozszalały się na zimnie, a wy jeszcze nie gotowe.

— Gotowe ojczulku, gotowe! — wybiegając do sieni, zaszczebotały dziewczynki.

Mrok zapadł zupełny, gdy pani Ilska z panienkami wsiadły do sanek, przy których kara zziębnięta czwórka mio-tała się niespokojnie.

— Michale, pilnuj koni! — stojąc na ostatnim stopniu schodów, zawołał pan Ilski. — Osobliwie zważaj na młodą źrebicę, która płochliwa jest i bystra.

— Trzymam, jak mogę, wielmożny panie, ale zmarzły koniska, to ledwie dam radę.

— Nie pójdą w świat aby?

— Ej, bo mi to z niemi pierwszy raz! Aby tylko za wieś, a tam już śniegu po kolana i przymęczą się prędko waryaty.

— No, to jazda w Imię Boga! — zakomenderował pan Ilski z ganku.

— Wio! — rozwijając powoli bat, huknął Michał na konie.

Przysiadły na zadach lejcowe, turecki ogierek i źrebica, potem skoczyły, szarpnęły, dyszłowa para naprężyła pasy i z szumem i brzękiem, sanie ruszyły z przed progu.

Zima w tym roku nie tyle była mroźna, ile śnieżna. Pola i łąki, drogi i rowy, zniknęły pod grubym białym całunem. Jak okiem sięgnąć rozpostarła się równa, jednostajna płaszczyzna. Kuropatwy i zające miały też tej zimy ciężką bie-dę. Nie mogąc pod śniegiem dogrzebać się pożywienia, ginęły z głodu. Ludzie po zarosłach stawiali im wprawdzie budki z gałęzi, sypiąc żer i stawiając z sianem stożki, lecz i ta pomoc niewiele pomagała, biedne stworzenia wymierały całemi stu-dami.

(d. c. n.)

## DO DZIEWCZYNKI.

Kochaj poezję, dziewczeczko młoda,  
I bądź poetką życia i czynu!  
Kochaj poezję, co bez wawrzynu  
Twemu istnieniu uroku dada.

Bo być poetką, to niekoniecznie  
Układać myśli w udatne wiersze.  
Poezya czynu żyje w nas wiecznie,  
I od pisanj ma pole szersze.

Tylko nam także w niej żyć potrzeba.  
Niechaj się z każdą minutą splata,  
A poprowadzi duszę do nieba,  
Jeśli nie zrobi nieba ze świata.

Poezya czynu — to życia księga,  
Którą spraw zacnych zapełnią zgłoski.  
To jest potęga miłości boskiej,  
To jest miłości bliźniej potęga.

To jest modlitwa, co z duszy płynie.  
To ła niedoli otarta skrycie.  
Ziarnko rzucone głodnej ptaszynie,  
Zywsze dla bożych dzieł serca bicie.

To obowiązek spełniony wiernie,  
Poprzestawanie na tem, co mamy.  
Korna cierpliwosć na losu ciernie,  
Jasne sumienie, serce bez plamy.

Poezye życia — to nie bogaty  
Strój, lecz udatna, czysta sukienka;  
To nie wspaniałych gmachów komnaty,  
Lecz powój, co się pnie u okienka.

To świeży wianek, którym co rano  
Przystroisz obraz Dziewicy Bożej;  
To promyk wiedzy, co nieskalaną  
Duszę podnosi — i skarb jój mnoży.

To przebaczenie, łagodność, zgoda,  
Życie poświęceń, co cicho płynie...  
O! bądź poetką w każdym twym czynie,  
A będziesz świętą dziewczeczko młoda!

J. Ch.

## W dziewiczych lasach Ameryki.

### II.

Pierwszy dzień podróży. — Moril. — Józio w opałach. — Wąż koralowy. — Moril w niebezpieczeństwie. — Niespodziewani goście. Napad. — Jeniec. — Polityka Luci.

Dwa tygodnie wystarczyły na potrzebne do podróży przygotowania. Dwadzieścia kilka mułów i dwa silne, wytrwałe kuce, stanęły przed werendą domu, który na zawsze opuszczali właściciele. Pan Walery i Tadeusz dosiedli kuców; miss Oliwia, Lucia, Józio i Juana mieli osiodłane dla siebie muły, reszta zaś mułów dźwigała juki, zawierające żywność podróżnych, oraz Indyan służących, którym przywoził Benito. Orszak rodziny i domowników powiększał Moril, ogromny pies, wychowaniec i ulubieniec Józia, rozumny i odważny, jak rzadko, zajadły nieprzyjaciel małp, z którymi za każdym spotkaniem toczył walki, nie zawsze na korzyść jego wypadające.

Po serdecznych pożegnaniach z innymi mieszkańcami miejsciny, ruszono nareszcie „gęsiego” bo tak podróżują Indyanie, zmuszeni nieraz torować sobie drogę w gęstwinie leśnej. Moril tylko nie trzymając się szeregu, wysuwał się to na prawo, to na lewo, to naprzód, radośnie oszczekując muły i skacząc im do nodrzy.

Wązką drożyną w cieniu odwiecznych drzew, osnutych giętkimi wiciami *lian*, jechali podróżni przez kilka godzin, aż wreszcie dotarli do polanki, gdzie dawał się słyszeć huk siekier, echem rozlegający się po borze.

— Tu popasać będziemy — rzekł p. Walery — Panfil przyrządzi nam posiłek, a gdy odpoczniemy trochę, pojedę do rębaczy i drwali, którzy niedaleko stąd pracują.

— I ja z ojcem — dorzucił Józio.

— I owszem, ale nim pojedziemy, dopilnuj, aby twój muł miał wygodę, jaka mu się po zmęczeniu należy.

Chętnie wziął się do tego Józio; obaj z p. Tadeuszem nabierawszy dla wierzchowców swoich liści ulubionego przez nich drzewa, z apetytem spożyli smaczny obiad, sporządzony przez Panfila, kucharza Indyanina, od wielu już lat służącego u pana Walerego.

— Dzisiejszy obiad nie gorszy od tych, jakieśmy jadali w domu — zauważył Józio, dokładając sobie po raz trzeci wybornęj kapusty palmowej.

— Przygotuj się jednak na jądanie gorszych — przestrzegł p. Walery. — Może się zdarzyć, że nic nie będzie prócz *tasajo* i kawy.

— Jabym też bardzo chętnie i teraz jeszcze zjadł *tasajo* — oświadczył Józio.

Roześmieli się wszyscy, bo zajadał właśnie w tej chwili ogromny kawał dzikiego indyka, na którego kości niecierpliwie oczekiwał Moril, wygłodzony ciągnął bieraninę po lesie.

— Siedź że spokojnie, Józiu — półgłosem zrobił mu uwagę ojciec, kręcisz się tak, jakby cię mrówki oblażyły.

— Bo tak jest, ojcie — odparł chłopiec — i nie mnie jednego. Pan Tadeusz także ledwo siedzi.

— Nie spotkał się przecie nigdzie mrówek, a tu niema ich także.

— Bo też to nie mrówki dokuczają *królewiczycowi* i panu „Tado” — wtrącił się do rozmowy Benito. — Panowie rwali dla mułów liście, a na drzewach pełno jest *garrapate*...

Zerwali się obaj jak oparzeni, bo „*garrapate*” (owad z gatunku *świerzbów*), choć nie niebezpieczny, jest jednak niezmiernie dokuczliwym. Żyje on wprawdzie na krzewach i drzewinach, ale gdy mu się uda dorwać człowieka lub zwierzęcia, wpija mu się w ciało główką w haczyki uzbrojoną i opija się krwią, sprawiając swojej ofierze nieznośne swędzenie.

Trzeba tedy było urządzić polowanie na napastników, którzy głównie czepili się Józia, nie mógł więc biedny chłopiec towarzyszyć ojcu do drwali, i zanim łowy ukończył, już p. Walery dał znak wsiadania. Słońce wysoko jeszcze było, ale choć najbliższy poręb, na którym miano nocować, leżał zaledwie o kilkanaście mil angielskich, p. Walery chciał jednak wcześniej przybyć na nocleg i sam dopilnować rozpinaania namiotów poraz pierwszy.

Szczęśliwie odbyto drogę i miss Oliwia, ani Lucia wcale się nie czuły zmęczonemi, gdy przyszło zsiadać z mułów poraz drugi. Benito i p. Walery w mgnieniu oka rozpięli dwa namioty: jeden dla miss Oliwii i Luci, oraz Juany, która i pod sklepieniem leśnym nie chciała odstąpić „złotego motyla”, drugi dla p. Walerego, Tadeusza i Józia.

— Słyszałem, że miałeś sypiać dodeczas podróży w szalasię z liści palmowych razem z Benitem — żartował z niego Tadeusz.

— Dziękuję panu za tę przyjemność! nie mam bynajmniej zamiaru darowywać mojej skóry *garrapatom* — mruknął rozespany Józio i w parę minut potem spał już kamienyn snem.

Nazajutrz ledwie świtać zaczęło, wszyscy już byli na nogach, orzeźwieni nocnym spoczynkiem i miłym chłodem poranku. Pan Walery się lękał, że miss Oliwia i Lucia, nieprzywykłe do nocowania pod sklepieniem gałęzi, od których oddzielał je tylko dach namiotu, będą niewywczasowane, ale obie oświadczyły, że nigdy w życiu nie spały tak smacznie.

Już Lucia wsiadała na muła, gdy uwijający się koło niej Moril, gniewnie i bojaźliwie razem ujadąc począł. Dziewczynka, jedną nogę włożywszy już w strzemień, drugą stała jeszcze na pieńku, do którego Moril to się zbliżał, to znowu odskakiwał, robiąc przytem takie ruchy, jakby chciał coś przydusić łapą, a lękał się tego uczynić.

— Co on tam znalazł? — spytała Lucia Józia, ale ten, zajęty w tej chwili poprawianiem popregi swego muła, nie zwrócił na jój pytanie uwagi. Lucia, zaciekawiona zachowaniem się Morila, gotowała się zeskoczyć z pieńka, i już nóżkę ze strzemiesienia wyjąwszy, spuszczała ją ku ziemi, gdy w tem Juana, przyskoczywszy do niej, porwała ją w pół i rzuciła, raczej niż posadziła na siodło: a potem nogą, obutą tylko w skórzany sandał, nadeptałszy coś z całej siły, krzyknęła na całe gardło:

— *Coralillo! Coralillo!* zabiłam go!

I w samą rzecz odważna Indyanka dla uratowania ukochanej „Niny” naraziła się na niebezpieczeństwo ukąszenia przez jednego z najjadowitszych węzów, jakimi roją się podrównikowe lasy! Mały, połyskujący, czerwonymi obrączkami nakrapiany, wąż koralowy, posiada jad tak zabójczy, że ukąszeni przez niego Indyanie nie próbują nawet żadnego na ranę lekarstwa. Wiedzą, że nic już nie pomoże.

Teraz dopiero zrozumiała Lucia, dlaczego tak szczekał Moril i pojęła całą wielkość niebezpieczeństwa, jakie jój groziło.

— Ach, Juano! — zawołała, prosto z muła skoczywszy w objęcia piastunki — a gdyby cię był ukąsił w bosą nogę?

— Co ja, to nie „nina” moja! Nie dla *coralilla* piastowała ciebie Juana, Złoty motyłu!

I z bałwochwalczą prawie miłością poniosła do ust złote warcokce Luci, drżącój z przestachu i wzruszenia.

P. Walery, Jozio, miss Oliwia i Tadeusz, zbiegłszy się na miejsce wypadku, otoczyli Juane, dziękując jój gorąco,

ale ona wciąż swoje powtarzała: „Nie dla *coralilla* piastowałam ja Złotego motyla”; i zdawała się nawet nie rozumieć, że dokonała czynu bohaterskiego poświęcenia.

— W drogę! w drogę! — naglił Benito, który także w postępku żony nie widział nic nadzwyczajnego.

— Siadaj na muła, kobieto — szepnął Juanie — wiesz, jako białe twarze lubią długie gadanie, a czasu szkoda, bo do porębu daleko...

Ruszono więc nareszcie, ale „białe twarze” długo jeszcze rozmawiały pomiędzy sobą o doznaniem wzruszeniu, które musiało nawet udzielić się Morilowi, bo ciągle coś wietrzył i ciągle się oglądał na jadących, jakby im chciał powiedzieć: „Poczekajcie, ja wam tu jeszcze coś wypatrzę! nie darmo przecie jesteśmy w dziewiczym lesie.”

I w samą rzecz, nie upłynęło i dwóch godzin, gdy Moril wciąż przodem biegnący, przystanął nagle i silnie się osadziwszy na tylnych łapach, wyteżył wzrok w stronę, gdzie na kopcu jakby świeżo wruszonej ziemi leżało nieruchomo wielkie, szarawe jakieś ciało.

— Panie Tadeuszu! okaz! — krzyknął Józio.

— Cicho! — szepnął wyraźnie Benito, złapawszy za obrozę wrywającego się naprzód Morila. — Cicho! *formiguero!* — dodał, nachyliwszy się Józiovi do ucha, a chłopiec obznajomiony z miejscowymi nazwami, podniósł się na strzemiionach i rzucił Tadeuszowi w ucho: — Mrówkojad!

Był to w istocie wspaniały i ogromny „okaz” tego dziwnego zwierzęcia, które zamiast zębów, ma na swoją obronę straszne pazury. Leżąc wśród mrowiska, które potężnymi sponami rozkopał, cienkim, lepkiem, na dwie stopy długim językiem, zgarniał raz po raz całe rzesze mrówek, które z widocznym zadowoleniem polykał. Przyglądali się temu wszyscy ciekawie, gdy Moril, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wyrwał się z rąk Benita i poskoczył ku mrówkojadowi.

Znienacka napadnięty, mrówkojad przysiadł na tylnych łapach i zanim Tadeusz zdążył strzelić, wpił się pazurami w szyję biednego Morila, który rozpaczliwie skowycząc, naderemnie usiłował się wyrwać ze szpon straszego przeciwnika.

— Moril! mój Moril! — wołał Józio nawpół z płaczem — rozszarpie mi psa ten potwór!

P. Tadeusz tymczasem, choć nie mrówkojady myślał zabijać, ucząc się strzelać do celu, strzelił tak trafnie, że położył zwierzę na miejscu. Józio poskoczył z muła i współ z Tadeuszem opatrywał psa, którego rana choć głęboka, nie była jednak śmiertelna. Biedne psisko drżało całe ze strachu i ze skulonym ogonem, wdzięcznie lizało ręce swego wybawcy.

Józio chciał koniecznie wsadzić Morila na swego muła, obawiając się, aby mu ruch nie zaszkodził, ale Benito opatrzył ranę po swojemu i zaręczył, że za parę dni zupełnie się zablizni, a że był dla Józia najwyższą powagą we wszystkim, co się týczyło obejścia ze zwierzętami, zgodził się na pieszą dalszą podróż ulubieńca swego.

Rana Morila goiła się szybko, dzięki umiejętnym staraniom Luci i miss Oliwii i czwarty dzień podróży miał się ku schyłkowi, gdy jadąc brzegiem rzeki, las przerzynającą, posłyszano plusk, jakby uderzenia wiosel o wodę. Pan Ru-

ciński kazał się mieć na baczności, gdyż do najbliższego porębu było jeszcze z półtora dnia drogi, należało więc przypuszczać, że zbliżająca się łódź niesie krajowców, a tym nie zawsze ufać można.

Po chwili, z za gęstwiny drzew ukazało się leciutkie, wąskie czółenko, niesione prądem wody. Na przodzie stał z włócznią na ramieniu Indyanin olbrzymiego wzrostu, niezmiernie chudy; za całą odzież miał przepaskę z ciemnej tkaniny, naszyjnik z purpurowych nasion okręcał mu po kilkakroć szyję, a z głowy owiniętej jaskrawą jakąś materią, spływały mu na ramiona dwa długie tejsze materyi strzępy, unoszące się w powietrzu za każdym powiewem wiatru.

(d. c. n.)

## SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Najpierwsze dosyć blisko rzeczy każdej bywa,  
Drugie-trzecie, gromadzą biesiadników rzesze,  
Wszystko raptem wesołą zabawę przerywa,  
Albo służy ku większej daleko uciezce.*

## ZADANIE KONIKOWE.

po	bie	zvia	po	się	ko	po	mie
tem	na	nad	hcą	stun	walk	wiej	ni
cie	tem	wsze	da	zprzę	nad	brze	dy
kiej	ży	to	na	ścią	ko	nie	ty
ki	dnich	tej	dzy	bied	ki	wo	szac
dzi	bos	dy	bie	sze	gnąć	dłu	zie
mar	błę	mat	nych	tros	po	wie	trze
ki	lu	ne	go	chcą	smę	na	giej

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Szarady: O c e l o t.

## Łamigłówki geograficznój:

1. Rodan.
2. Oka.
3. Gambia.
4. Orinoko.
5. Zanzibar.
6. Ilmen.
7. Niagara.
8. Suez.
9. Kanton.
10. Irlandja.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Pogadanka naukowa (z drzew.) — Z okolic Gdańska: Widok opactwa Oliwy (drzew.) — Kulig. — Do dziewczynki, wiersz p. J. C. W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Renifery p. Ciocię Rózię (z drzew.) — Michałek, wiersz p. Helęg Bojarską. — Antoś, p. H. Wernica — Zuch Fredzio (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.



# WIECZORY RODZINNE.

## RENIFERY.

— Jakie brzydkie te sanki — wołał Janek, pokazując cioci Rózi obrazek, który tu widzicie. A jakie dziwne zwierzę zaprzężono do tych sanek!

— Nie wiesz pewnie, jak nazywa się to zwierzę? — zapytała ciocia.

nifery żyją także w północnej Azji i w północnej Ameryce — mówiła ciocia. Koniom byłoby za zimno w Laponii, przytem potrzeba im lepszego pożywienia, owsa, siana, tyczasem renifer potrafi wyżywić się mchami, które obficie rosną w Laponii i które umie wygrzebać z pod śniegu.

— A dlaczego w Laponii trudniej o zboże aniżeli u nas? — pytały dzieci.



Renifery.

— I ja nie wiem — odrzekła Mania. — Trochę podobne do jelenia.

— To zwierzę nazywa się reniferem.

— Reniferem — powtórzyła Mania — nie widziałam nigdy renifera.

— Wierzę ci — odparła ciocia — bo też żyje on w krajach północnych, bardzo zimnych, gdzie śnieg pada jeszcze wtedy, gdy u nas już na wiosnę pierwsze fiołki zbierać można.

— Czy w tym kraju niema koni, że do sanek zaprzęgają renifery — spytał Julek.

— A jak się ten kraj nazywa? — wołała Mania.

— Kraj, w którym jeżdżą reniferami, zowie się Laponią, i znajduje się na samej północy Europy, ale re-

— Bo tam zima długa, lato krótkie, a roślinom takim jak zboże, pszenica, żyto, jęczmień, owies, potrzeba dużo tego ciepła, którym słońce darzy ziemię, by mogły urosnąć i dać ziarna, z którego robimy mąkę, i kaszę. Lapończycy też ani orzą, ani sieją. Jedni zajmują się chowem reniferów, drudzy łowieniem ryb. Mięso reniferów jedzą, mleko ich piją, skóry zaś służą im za ubranie i wystanie łózek, wreszcie z rogów wyrabiają różne przedmioty, jako to rączki do noży, wideleców i t. p.

Lapończycy nie mają ani wielkich miast, ani domów takich, jak nasze, żyją w małych brudnych chatach drewnianych, obetkanych mchem. Jakkolwiek są chrześcijanami mają wiele zabobonów, wierzą w różne czary.

— Teraz rozumiem, dlaczego Lapończycy jeżdżą

takiemi prostymi sankami — zauważył Janek. — Nie umieją zrobić zgrabniejszych.

— Zapewne Janku, każda robota wymaga pewnej nauki.

— A sierść reniferów jakiego jest koloru? — spytała Mania.

— Ciemno brunatnego

— I na co służą mu te rogi? — zastanawiała się Mania. — A może on niemi odgarnia śnieg, by sobie pod nim mchu trochę znaleźć?

— Rzeczywiście, tak jest, Maniu.

Dzieci po tem objaśnieniu, podziękowały cioci Rózi za wytłómaczenie im obrazka i poszły do jadalnego pokoju, by tam przeczytać opowiadanie o reniferach.

*Ciocia Róża.*

## MICHAŁEK.

Raz niegrzeczny Michałek

Wziął pudełko zapatek;

J bawi się, zapala;

Mama woła nań zdala:

— Połóż-że to, kochanie,

Bo popalisz ubranie,

Lub sparzysz się. O, Boże!

Połów zaraz!

— Położę —

Odpowiada chłopczyna,

I znów swoje zaczyna.

A wtem naraz zapałka

Parzy w rączkę Michałka

— Ojoj! boli! oj! piecze!

Woła; Mama zaś rzecze:

— Nie żałuję cię wcale,

Boś niegrzeczny, Michale!

Bozia karze też dziatki,

Gdy nie chcą słuchać matki.

*Helena Bojarska.*

## ANTOŚ.

Ilekróć Antoś spotkał ubogie dziecię, zawsze się nad niem litował. Pewnego razu, otrzymawszy od matki rumianą, cukrem posypaną bułeczkę i czerwone jabłuszko, wyszedł na podwórze i chciał już ugryźć jabłko, gdy wtem ujrzał ubokiego chłopczyka, chciwie spoglądającego na jego podwieczorek. Antoś przywołał ubogie dziecię do siebie i rzekł:

— Zapewne jesteś głodny?

— Tak — odpowiedział chłopczyk — bardzo jestem głodny.

— Weź to — rzekł Antoś, podając biednemu dziecku jabłuszko i bułeczkę. Potem powrócił do mamy i powiedział:

— Mamo, daj mi kawałek suchego chleba.

— Wszak już otrzymałeś podwieczorek — odrzekła matka.

— Tak, mamusiu — powiedział nieśmiało — ale dałem go temu biednemu głodniałemu chłopcu, który stoi na podwórzu.

Matka nic na to nie odpowiedziała, spojrzała tylko z radością na synka, pocałowała go w głowę i dała kawałek suchego chleba, który Antosowi lepiej smakował niż ciastko, gdy pomyślał że je oddał głodnemu biedakowi.

*H. Wernic.*

## ZUCH FREDZIO.

(Dalszy ciąg).

— Tak, tatusiu, ja będę zuchem, i już może za pół roku wejść do ciemnego pokoju — zaczął znów Fredzio, chcąc coś utargować na czasie.

— Tymczasem idź do dziecinnego pokoju — rzekł ojciec — trzeba będzie pewnie pomyśleć o tem, aby ci jeszcze piastunkę zgodzić. Muszę o tem pomówić z mamą, bo widzę, że z ciebie maleńkie dzidzi, choć się łudziłem, że mam sporego już synka.

Fredziozawstydzony, i ze smutną minką wyszedł z pokoju.

Na drugi dzień, przed samym obiadem, ojciec rzekł do chłopczyka.

— Ubierz się ciepło, zaprowadzę cię na ślizgawkę.

Było to bowiem w zimie, i ślizgawkę w ogrodzie na kanaliku, urządził ojciec wyborną.

— Ach! dobrze, tatusiu, czy i Marynka pójdzie? — zapytał, oglądając się za paltocikiem.

— Nie, Marynka zostanie przy Luni — odpowiedział tatuś.

Fredzio posmutniał, bo Marynka umiała mu dogodzić, przynosiła bowiem z kredensu duży stołek, odwracała nogami do góry, chłopczyk siadał, ona popychała stołek po lodzie, i to się nazywało ślizgawką.

Teraz przeczuwał, że ojciec tego przecież nie zrobi, i jakoś stracił ochotę odrazu.

— Proszę tatusia, a może dziś bardzo zimno — zapytał spoglądając w okno.

— Naturalnie, że nie ciepło, bo przecież teraz nie lato — odpowiedział ojciec — ale to nic nie szkodzi, zacieraj się i chodź.

Fredzio, wdychając, poszedł za ojcem, a gdy przyszli nad kanałek, i Fredzio ujrzał błyszczący lód w promieniach zimnego słońca, pomyślał sobie:

— Nie wejść ja na ten lód, bo pewnie połamałbym nogi.

Tymczasem, tatuś przypiął sobie łyżwy, a wzięwszy malca za rękę, rzekł wesoło.

— No, chodź, mój zuchu, rozpoczniemy naukę.

— Tatusiu, ja na lód nie wejść.

— A to dla czego?

— Ja... ja się boję tatusiu.

— Boisz się? boisz się lodu, gdy ja cię za rękę trzymać będę?

— A jak się przewrócę? mogę złamać nogę i będę kulawy — mówił Fredzio prawie z płaczem.

— Już ja cię przytrzymam, nie obawiaj się—mówił ojciec z niecierpliwością, i choć Fredzio trząsł się ze strachu, wprowadził go na lód, objaśniając przytem, jak stąpać i posuwać się należy.

Ale niełatwa to była nauka, chłopiec obiema rękami chwycił się ojca, powtarzając swoje ciągle.

— Tatusiu ja się przewrócę i zabiję na tym lodzie.

Po kilku daremnych próbach, dalsza nauka stała się niemożliwą, i chłopczyk wrócił do domu, a gdy się mama dowiedziała o wszystkim, rzekła ze smutkiem.

— Doprawdy jestem bardzo zmartwiona, bo mieć syna takiego tchórza i beksę, to wstyd wielki. Nie wiem jak to będzie, bo za tydzień, t. j. na święta Bożego Narodzenia, ma przyjechać do nas ciocia z Warszawy, a z czworga jej dzieci, niema ani jednego, które byłoby podobne do ciebie.

— Ach, to ciocia przyjedzie! — wykrzyknął Fredzio radośnie — i przywiezie Julka, Kazię, Micię i Adasia! Ach, to dopiero będzie wesoło!

— Nie dla wszystkich — odrzekła mama — bo ciocia pisała, że dzieci jej cieszą się niezmiernie, iż będą mogły ślizgać się, jeździć sankami, i różnych używać przyjemności, a że ty tego wszystkiego się obawiasz, więc będziesz siedział prawdopodobnie w domu.

Fredzio na chwilę posmutniał, ale pocieszył się wkrótce myślą, że do Bożego Narodzenia, sanna może zginie, lód się rozpuści, i naturalnie wszyscy będą siedzieli w pokoju, i zabawiali się razem.

Tydzień minął bardzo prędko, ale ku wielkiemu niezadowoleniu Fredzia, śniegu przybywało jeszcze więcej, a co lód, to stał się tak mocny, że choćby armaty po nim prowadzić to by ani drgnął, tak przynajmniej utrzymywała Marynka.

Ani podobna opisać radości Fredzia, gdy posłyszał dzwonki i grzechotki, i ujrzał w szerokiej alei kryte sanie, które tatuś wysłał do stacyi po ciocię.

Oj! wesoło też było, wesoło, a Julek, który był tylko o rok starszy od Fredzia, jak tylko zjadł obiad, z którym czekano na gości, rzekł do Fredzia.

— Poproś mamy, aby nam pozwoliła iść teraz trochę na podwórze.

— E, tam są takie złe psy — rzekł Fredzio krzywiąc się nieco.

— To ty się boisz swoich psów? To się ty z nimi nie znasz? — mówił zdziwiony Julek.

— Znam, ale zawsze jestem od nich zdaleka, jeden nazywa się Turek, i jest bardzo zły, a drugi dumny, i taki... taki jakiś... niemiły.

— Czy one nie uwiązane? pytał ciekawy Julek.

— O, uwiązane na grubych łańcuchach, i tylko je na noc spuszczają, jak bramy zamkną — odpowiedział Fredzio.

— No, więc czego się boisz, kiedy psy na łańcuchach — rzekł Julek, śmiejąc się głośno.

— A jakby się urwały z łańcucha? to co? — mówił Fredzio przekonująco.

— Ha, ha, toś ty jak widzę bardzo ostrożny i boisz się wszystkiego — rzekł Julek, kręcąc głową.

— Dzieci — rzekł ojciec, który zdaleka słyszał tę

rozmowę — nim wieczór nadejdzie, może pójdziemy spróbować, czy lód mocny na kanaliku.

— Ach! dobrze! kochany wujaszku, — zawołały wszystkie dzieci radośnie, nawet Adaś młodszy od Fredzia, zaczął szukać swego szalika.

— Czy i ty pójdziesz? — zapytał go Fredzio.

— Ja zawsze chodzę z mamusią, już nawet trochę umiem się ślizgać, ale jeszcze nie bardzo — odpowiedział Adaś, zapinając paltocik.

Fredzio, rad nie rad, po zedł ze wszystkimi, ale jakoś nie miał bardzo humoru, myślał bowiem ciągle o tém, co powie, gdy Julek będzie chciał się z nim ślizgać.

Gdy nad kanałkiem zaczęli wszyscy przypinać łyżwy, które z sobą przywieźli, Julek rzekł do Fredzia.

— Czy ty masz łyżwy?

— Ja nie, nie umiem jeszcze wcale... i Fredzio zawahał się jakoś.

— Wujku — rzekł Julek zwracając się do tatusia Fredzia — czy naprawdę Fredzio nie umie, choć bez łyżew ślizgać się?

— On się nie umie ślizgać — odpowiedział wujek.

— A to dla czego? — zapytały wszystkie dzieci

— Mogłby paść, rozbić sobie głowę, lub złamać nogę — rzekł wujek poważnie.

— Ostrożnie bym go prowadził, gdyby wujek pozwolił — rzekł Julek uprzejmie.

— Ale i owszem mój chłopcze, jeżeli się tylko Fredzio na to zgodzi.

(d. n.)

### ZAGADKA.

Litera i wykrzyknik, będzie z tego rzeka  
I wyspa przez wielkiego wstawiona człowieka.

### REBUSIKI.

oj oj oj oj oj  
oj sko oj  
oj oj oj oj oj  
roj  $\frac{\text{roz}}{\text{mioty}}$  biło

il il il il il il  
il K il  
il li os } zęby  $\frac{\text{ce}}{\text{ow}}$   
il il il il il il

ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Zagadki: Elster.

### Tajemniczej głoski.

Tajemniczą głoską jest R. Raj, brona, bruk, bóbr, brat, cerber, dobra, Rej, frant, kraty, morwa, rosa, Odra, Obra, rów, parka, szarfa, tarka, Warta, zrab, warga, grad.

## Skrzynka do listów.

**Szczebiotko** kochana, chętnie uczynimy zadość twój prośbie i przysyłamy żądany początek powieści, gdy nam swój adres doniesiesz; z przyjemnością zaliczamy cię do gromadki miłych naszych korespondentów. Łamigłówkę w swoim czasie przejrzymy, poprawimy jeżeli tego będzie potrzeba; na przyszłość prosimy wszakże aby tak łamigłówni, jak i liściki do innych panienek, pisane były na innych ćwiartkach niż listy które piszesz do nas.

O ile nam się zdaje, **Niezapominajko z nad Warty**, znakomity autor „Kamiennej postaci” miał tylko na myśli wypowiedzenie głębokiej prawdy po wsze czasy prawdziwej.

W samej rzeczy, **Wróżbiarko szczęścia**, do życzeń swoich nic już dodawać nie potrzebujesz, aby je wymownemi uczynić; trafiły nam do serca, dziewczeczko droga. Powiastkę przejrzymy.

**Wesoła Leśmierzanka i Benjaminek** wiedzą już, jaki jest rezultat sądu konkursowego.

**Złotój Pszczołce** odpowiadamy, że cena Pamiętników Kostrzewskiego, które wyjdą w m. lutym w edycji ozdobnej z ilustracyami, wynosi w prenumeracie rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 75.

**Ukrainko z kącika**, kto dba o to, by zachowano o nim „dobre mniemanie”, tea na nie zasługuje z pewnością. Jakżeby nawet można mieć o nim inne? a także jak nie pamiętać o tak wyjątkowo długoletniej, bo 6-cio letniej **Konwalijce**

Dziękuję ci serdecznie, **Różowa Jutrzenko**, za wyświadczoną mi przysługę. W samej rzeczy korespondencja z Wami jest dla mnie zawsze równie żywą przyjemnością, jak nią była przed laty kilku, gdy zaledwie dorolaam. Nie znając żadnej z was osobiście, wiem, że mam wpośród was serdeczne przyjaciółki, związane ze mną wspólnością myśli i celów i kocham je, jak siostry rodzone. Same te życzenia serdeczne, jakie od was z powodu Święt odbieram, wystarczają, aby wzbudzić w mém sercu wdzięczną dla was przyjaźń. **Złota Pszczołka** dawno już ją sobie zdobyła; z przyjemnością więc przysługuję się jej odpowiedzią, że „Reginka” kosztuje bez przesyłki, kartonowa na rs. 1 kop. 50.

Widzę, **Ismeno** droga, że w czynnym i ruchliwym twoim życiu zachodzi zmiana, która nie musi ci być niemiłą. Nie wiem, czy potrafię zadość uczynić twemu życzeniu; mam trochę obowiązkowych zajęć, a przytém i karnawałowe rozrywki czas zabierają. Szczęśliwej podróży i dobrej zabawy ci życzę, prosząc, abyś mnie w przyjaznej pamięci zachowała.

Ślicznie zrobiła **Królowa Elfów**, nowa moja siostrzyczko **H. R.**, „zmuszając” cię do napisania do mnie. Podziękowanie jej za to przesyłam.

Naturalną jest rzeczą, **Horpyno** droga, że podobają mi się zamiary przez rodziców dla przyszłości twojej obmyślane, a sądzę, że i ty sama pragnąc musisz ich spełnienia.

**Pokrzywie**, która zamiast parzyć, serdecznie się do mnie odzywa, dziękuję za przyslaną mi łamigłówkę.

Miło mi było czytać list twój, **Violo tricolor**, tyle w nim myśli poważnej i zrozumienia tego, co najpilniejszą jest potrzebą i obowiązkiem najbliższym. Z takim sposobem myślenia, wszędzie, droga moja, na wsi czy w mieście, użyteczną być potrafisz. Sciskam cię serdecznie wraz ze **Snieżyczką** i dwuletnim kandydatem na korespondenta.

**Biała karta, Jaskółka z nad Bohu, Terenia R. i Gosposia z Podola** przysłały dla ubogich dzieci ubranie, za które im serdecznie dziękuję. **Gosposia** kontenta z otrzymanej nagrody, chce „żeby się i biedne dzieci cieszyły”, co w takiej niewielkiej gosposii złotego serduszka dowodzi. **Tereni R.** wysłałiśmy, czego żądała; 70 kop. pozostaje do rozporządzenia kochanej mojej „młodszej siostrzyczki”, która tak serdecznie przemawia do szczerze was kochającej **Gołabki**.

**Kochana Chmurko złocista!** Jesteś w tym samym wieku bo obiedwie mamy po lat 11; radabym z tobą korespondować. **Ku-**

chana **Lilijko Mam** lat 14, nazywam się **Terenia W.** Jako niewiele młodsza odemnie, może będziesz miała ochotę d omnie pisywać. *Ukraineczka z Kącika.*

Kochane panienki. Od roku prawie wypisuję **Wieczory**, a żadna z was do mnie nie napisała, pierwszą więc zaczynam. Mam lat 14. Z nauk najlepiej lubię arytmetykę i muzykę. Na zawarcie naszej znajomości posyłam wam rebus i proszę o prędką odpowiedź życzliwa *Iskra z W.*

Dziękuję ci serdecznie miła **Niezapominajko z nad Warty** za szaradę, a tobie **Sarenko z nad Moroczku** za odpowiedź ścisłkam was obie serdecznie, wraz z siostrzyczkami **Sarenki**. Łączę też gorący uścisk dla kochanej **Stokrotki z nad Stochodu**. Życzliwa staruszka: *Ukrainka*

Pisuj do mnie często **Niezabudko** miła, gdyż bardzo mi się podobałaś i donieś mi co o sobie. Szczegółów o mnie kochany **Bluszczu** możesz się dowiedzieć z N-rn 48 z listu do Nieznajomej. Jakież jest twoje imię i twego rodzeństwa? Czy które pisuje do „Wieczorów” i pod jakim pseudonymem? Mnie również jak ciębie zajmuje nasze **Pisemko**. Nie mogę zgadnąć **Filaretko** twoego imienia, ale, żeby było i najbrzydsze, podobałaś mi się bardzo, lecz nie trzymaj mię bardzo w ciekawości i napisz. Czy będziesz należeć do konkursu dla staruszek? Ścisłkam was serdecznie, **Porankowi** załączam milion całusów. *Niezapominajka z nad Warty.*

Kochana **Artystko!** Dziękuję ci za list i zapytuję co porabiasz? My się w dzień uczymy, a wieczorem czytamy, robimy robotę. Opisz nam obszerniej twą wycieczkę do **Krakowa**; prosimy cię o to bardzo. Ścisłkam cię, twoja *Kukulka z pod Lublina.*

Kochana **Pękata Beczulko**. Bardzo mi się podobał twój pseudonym, pragnę z tobą korespondować. Powiedz mi gdzie mieszkasz ile masz lat, jak ci na imię i czy dużo się uczysz? Jak dawno czytasz „Wieczory” i która powieść ci się najbardziej podobała? bo ja, już je mam od trzech lat. Z powieści najbardziej mi się podobały, **Branki w Jasyrze** i **Druga Matka**. Jest mi na imię **Marya**, mam lat 13, i mieszkam na wsi. Przyjm kochana **Pękata Beczulko**, serdeczne uściśnienia i życzenia wszelkiego dobrego, na rozpoczęty rok, od życzliwej, *Sikorki z nad Utraty.*

Z nowym rokiem, nowe życie, nowe szczęście!... Witam was, siostrzyczki kochane, i łączę wszystkie w jednym serdecznym uścisku. Oby ten nowy rok przyniósł każdej z nas to, czego najwięcej pragnie. Zdrowie ukochanym naszym, urodzaj rolnikom, pociechę smutnym, a w nas wzbudził chęć do pracy i nauki. Milion całusów załączam drogim dziewczętkom, co w zeszłym roku obdarzyły mię liścikami, i proszę nadal nie zapominać o waszej *Sosence.*

Dziękuję, ci droga **Niezabudko**, za twój miły liścik, który mnie bardzo ucieszył. Przesyłam uściśnienia **Gabryelce**, **Stasiowi**, **Anusi** i **Nince**. Zdaje mi się kochana **Litwinko**, że nazywaś się **Anusią Mont**. Masz 12 lat i mieszkasz na **Żmudzi**? Napisz mi proszę czy tak jest? Kochana **Senno Polska**, dziękuję ci za przesłane uściśnienia od **Piszczalki**. Możebyś chciała ze mną korespondować? Donieś mi proszę coś o sobie. Ścisłkam was wszystkie serdecznie. Wasza *Jaskółka z nad Ussy.*

Kochany **Barwinku!** Bardzo wielką sprawiłaś mi przyjemność, pisząc do mnie; chętnie z tobą będę korespondować. Napisz mi, moja droga, jak ci na imię, ile masz lat, gdzie mieszkasz, gdzie się uczysz i co ci się najlepiej podoba w **Wieczorach**? Mnie „Pod wpływem błogosławieństwa” i „**Druga matka**”. Uczę się w domu, nauki bardzo lubię a szczególnie: muzykę, geografję; na imię mi **Helena**. Napisz, czy masz rodzeństwo bo ja nie mam. Czeka na odpowiedź i ścisłka cię *Cicha Fała.*

Kochana **Dzika Różo!** Dziękuję ci za liścik i przepraszam, że dopiero teraz odpisuję. Może nie wiesz, że wesele cioci **Ireny** już było, bawiliśmy się bardzo wesoło. **Swawonik** i **kucyk** są zawsze u nas. **Arkaduk** uczy się jeszcze w domu, razem pojedziemy do **Wilna**, gdyż wkrótce i ja skończę lat 8. Czy dobrze się uczysz? Napisz czy podoba ci się mój pseudonym? Całuję ciebie, kochająca *Rydzka z Szymna.*